

«MOJA» MARYJA (9) WSPÓŁODKUPICIELKA (E)

Najposłuszniejsza

Wiemy już, że Syn Boży jako Człowiek odkupił nas, czyli pojednał nas z Ojcem i odzyskał dla ludzkości prawo do radowania się wiecznym szczęściem Nieba z ominięciem Otchłani, utracone przez grzech pierworodny. Uczynił to jako Syn Człowieczy, głowa ludzkości, przez swoje doskonałe posłuszeństwo Ojcu, okazane Mu w imieniu i w zastępstwie wszystkich ludzi. Autor Listu do Hebrajczyków (10, 10) wkłada w Jego usta słowa: „Oto idę, abym spełniał wolę Twoją”. On sam potwierdzi to wobec ziemskich Rodziców, odnaleziony przez nich w świątyni jerozolimskiej: „Czy nie wiedzieliście, że powinienem być w tym, co należy do Mego Ojca?”.

Skoro tak, to Maryja mogła pełnić u Jego boku i razem z Nim rolę „nowej Ewy” przez to samo: przez swoje pełne i doskonałe posłuszeństwo Bogu. Ona jedyna pojawiła się na skażonym grzechem świecie jako Niepokalana, pierwsza z dwojga najposłuszniejszych, z duszą o wiele bardziej skłoną do dobrego niż do złego. To pozwala nam na wyciągnięcie następujących wniosków:

– Jej udział w dziele odkupienia ludzkości rozpoczął się w chwili Jej zaistnienia w łonie matki – już wtedy została przez Boga powołana do wyjątkowej misji, zaplanowanej przez Boga jeszcze przed stworzeniem świata. To powołanie stało się możliwe dzięki temu, że Bóg stwarza naszą duszę od razu jako dorosłą, a wraz z nią ciało duchowe, i może On od pierwszej chwili kontaktować się ze swoim stworzeniem na poziomie nieznanym ludziom dorosłym, którzy uważają je (całego człowieka!) wyłącznie za „embrion” mikroskopijnej wielkości.

– Idąc za myślą swoich rodziców i pod wpływem Bożego oświecenia ofiarowała się Maryja Bogu do świątyni jerozolimskiej jako trzyletnia, co w praktyce oznaczało dla Niej życie sieroty, gdyż listów nie pisała, a telefonów nie było. Widziała, z jakim bólem ją odprowadzają i żegnają na zawsze.

– Oddano Ją pod opiekę pobożnej staruszki, znanej z Ewangelii wg św. Łukasza (2, 36-37) jako Anna, córka Fanuela z pokolenia Asera. Anna pracowała w czymś w rodzaju szkoły z internatem, funkcjonującej przy świątyni, a przeznaczonej dla dziewcząt z rodu króla Dawida. Jako Jej piastunka i powiernica, znała Ją od strony duchowej, a więc wiedziała, z jakim napięciem oczekuje nadejścia Mesjasza i przywołuje Go na ziemię. W swoim „Poemacie” Jezus utwierdza nas w przekonaniu, że Jego Ojciec nie mógł oprzeć się tak ufnej, żarliwej i wytrwałej modlitwie Najświętszej Dzieweczki i odpowiedział na nią, posyłając Go na ziemię jeszcze przed czasem, zapowiedzianym przez Proroków.

– Ona pierwsza na ziemi pojęła w pełni tajemnicę odkupieńczego cierpienia i przyjęła je w darze od Boga, czyniąc z niego swój krzyż, zanim Jej Boski Syn tego samego będzie wymagał od swoich uczniów. Chyba nikt nie wątpi, że Jej życie stało się jednym pasmem wciąż narastającego duchowego cierpienia, i aż chęć bierze, by pod tym kątem przeanalizować znane nam epizody ewangeliczne, lecz brak tu na to miejsca. Uderzało w Nią ono wszędzie: w Nazarecie, w Betlejem, w Egipcie, nawet w Kanie Galilejskiej... To właśnie w Kanie Jezus swoim pytaniem przypominał Jej (bolesną dla Obojga) „swoją godzinę” – pożegnanie przez Niego Nazaretu i konieczność całkowitego zdania się przez Niego na wolę Ojca Niebieskiego, choćby to miało krzyżować wolę i uczucia Matki. Będzie Ona odtąd z coraz większym napięciem nasłuchiwać wieści o Synu, którego nie rozumieją i odrzucają przywódcy narodu, stając się wreszcie Jego oskarżycielami i oprawcami. Będzie też pod naciskiem dwóch uchodzących za braci stryjecznych Jezusa, którzy, nie znając Jego prawdziwego Ojca ani misji na ziemi, będą chcieli Go „przywołać do porządku” i ściągnąć z powrotem do Nazaretu, by jako stolarz opiekował się Matką. Będzie znała życie i ducha Judasza raz udręki Jezusa z jego powodu. Domyślamy się, jak raniła Ją pycha Nazaretańczyków, którą Jezus zadraśnię i o mały włos nie zostanie przez nich uśmiercony. Reszta Jej męki to będzie Jerozolima, i to aż do Jej wniebowzięcia z Góry Oliwnej.

– Niepokalana żyła na ziemi jak Ewa przed grzechem, nieświadoma jak dzieci swojej „nagości” w najszerszym tego słowa znaczeniu. Na początku swego życia wyrzekła się, z miłości do Boga, macierzyństwa wzorowanego na tym, które Ewa widziała u zwierząt i którego zachłannie, i to natychmiast, pożądała. Jak wiemy, wszystkie Żydówki pragnęły mieć dzieci, a za wielkie nieszczęście i hańbę uważały nieplodność, która wyłączała je z szeregu kandydatek na matkę oczekiwanego Mesjasza. Jakoś nie trafiało do nich słowo proroctwa, że „Dziewica poczne i porodzi Syna i nazwie Go imieniem Emmanuel – Bóg z nami”. Maryja, która ofiarowała Bogu swoje dożgonne dziewictwo, modliła się tylko o to, by mogła tę wyjątkową matkę poznać i zostać jej najniższą sługą.

– Pewno właśnie ze względu na swój ślub dziewictwa reaguje Maryja w sposób dla Niej charakterystyczny na słowa Archaniola: „Przecież męża nie znam...” – co mogło znaczyć: przecież umówiliśmy się z Józefem co do zachowania dożgonnej czystości i dziewictwa, czyżby więc Bóg je odrzucił wraz ze złożonym Mu przeze mnie ślubem? Gabriel wprowadza Ją w tajniki wyjątkowego poczęcia Syna Bożego za sprawą i mocą Ducha Świętego, by mogła spokojnie i z niezachwianą pewnością wypowiedzieć swoje „TAK” w duchu doskonałego posłuszeństwa Bogu i przyjąć Jego wolę.

– Zanim Maryja dała odpowiedź, ukryła się, jak zwykle, w przybytku swojego serca, w którym zawsze mieszkał Bóg, by rozważyć słowa Jego Pośłańca. Intensywnie, na najwyższych obrotach, pracowały jednocześnie dwie władze Jej duszy: rozum i wola. Pierwsza z nich, doskonalsza niż u Prarodzców, sięgnęła do skarbca pamięci i błyskawicznie wydobyła z niego to wszystko, czego dowiedziała się w świątyni od swoich nauczycieli i wychowawców na temat mającego przyjść na ziemię Mesjasza. Odnośne fragmenty Proroków i Psalmów połączyły się w jedną całość, tworząc w Jej umyśle obraz cierpiącego i ukrzyżowanego Sługi Boga. Zwłaszcza szczegóły Jego okrutnej i poniżającej męki i śmierci, podane przez Izajasza, wstrząsnęły Nią, gdyż uświadomiła sobie, że jako Jego matka będzie musiała razem z Nim to wszystko przeżywać. Zanurzona w tym świetle poznania, skoncentrowała się teraz na swojej woli, wsłuchiwała się w rytm swojego serca. Próbowwała odczytać, jak ono „rezonuje z częstotliwością serca Boga”, na ile z nim zgodnie, a wtedy... ten mocny i precyzyjny, jak zawsze w Jej życiu, „rezonans” upewnił Ją co do woli Bożej. Pozostało Jej już tylko to najtrudniejsze: doskonale ukrzyżowanie, przekreślenie własnej woli, by ta nawet w największym cierpieniu mogła pozostać ściśle zjednoczona z wolą Boga, i to bez najmniejszego cienia buntu. Że właśnie to się w Niej dokonało, mogą świadczyć słowa Jej odpowiedzi, w których nazwała siebie „służebnicą Pańską” (łacińskie *ancilla Domini*, greckie *dule kiriju*). Były to słowa nigdy na ziemi niespotykanej pokory, rodzonej siostry wyjątkowego i absolutnego posłuszeństwa Stwórcy. Słowa, których zabrakło Ewie w raju – nie potrafiła wypowiedzieć ich wśród rajskich rozkoszy, a tu padły one w perspektywie zbliżającej się najokrutniejszej męki Mesjasza, a wraz z Nim – Matki Ukrzyżowanego, który (jak niewolnicy wyjęci spod prawa) miał być sprzedany za 30 srebrników i „jak baranek na rzeź poprowadzony”. Słowa Maryi podczas Zwiastowania zabrzmiałyby mocniej w dosłownym tłumaczeniu, do którego w Polsce nie jesteśmy przyzwyczajeni przy modlitwie „Anioł Pański”: „Oto ja *niewolnica* Pańska...”.

– Śmiem twierdzić, że to Jej słynne „Niech mi się stanie”, po łacinie „*Fijat*”, a w greckim oryginale „*Genoito moi*” (z akcentem na sylabie „to”) stało się załączkiem, zaczątkiem całego dzieła odkupienia ludzkości przez doskonałe posłuszeństwo Bogu Ojcu (Jej Boskiego Syna, ale i Jej u Jego boku). Pierwsza zgrzeszyła Ewa, biorąc sobie za nauczyciela i przewodnika Węża buntownika i zwodziciela, więc i pierwsze słowo powrotu na drogę doskonałego posłuszeństwa Bogu musiała wypowiedzieć „nowa Ewa”. Zanim za 33 lata Odkupiciel na Golgocie zmiażdżył jego głowę, już w tym momencie postawiła na niej swoją stopę Niewiasta, która żyła nie w raju, lecz na ziemi uginającej się pod brzemieniem cierpień, ale nosząca w swym Niepokalanym Sercu nowy raj, przygotowany (przynajmniej na 9 miesięcy – fizycznie i duchowo) przez Boga Ojca dla

Syna, posyłanego na ziemię. Żyjąc wśród grzeszników i świadoma dziejącego się na ziemi zła, sama Niepokalana omijała posłusznie z daleka, przez całe swoje życie, „drzewo wiadomości dobrego i złego” w sposób doskonały, na równi z Synem Człowieczym.

Fizyczne cierpienia Współodkupicielki

Jak o tym przed chwilą była mowa, przez całe życie Maryja dźwigała brzemień duchowego cierpienia, gdyż nawet po wstąpieniu Jezusa do Nieba nie było Jej ono oszczędzone: bardzo musiały się Jej dłużyć lata oczekiwania na wniebowzięcie, a któż pojmie ogrom Jej tęsknoty za Synem i Niebem? Ale warto tu ponadto postawić pytanie o Jej cierpienia fizyczne, od których byłaby wolna w raju.

Znajomość, już przy Zwiastowaniu, losu matki Odkupiciela i Jej decyzja „Niech mi się stanie...” łączy się w jedno z reakcją Jej serca, choć bez słów, na proroctwo starca Symeona: „Duszę Twoją przeniknie miecz...”. Być może to by wystarczyło, by wypełniła swoją rolę Współodkupicielki. Ona jednak cierpiała wraz z Synem także fizycznie, by – jak możemy przypuszczać, na mocy decyzji swojej woli – całą sobą, podobnie jak On i jednocześnie z Nim – złożyć siebie Bogu w ofierze za grzechy ludzkości. On uczynił to jako ustanowiony przez Ojca Kapłan Nowego i Wiecznego Przymierza (to słowa z Prefacji na święto Chrystusa Najwyższego Kapłana), Ona zaś na mocy powszechnego, królewskiego kapłaństwa, opartego na naszym chrzcielnym przymierzu z Bogiem. To właśnie na Golgocie w decydującej chwili Odkupienia złączyły się ze sobą oba rodzaje kapłaństwa oraz obie ofiary: Syna i Matki. Syn był tam otoczony w sposób mistyczny przez wszystkich kapłanów, reprezentowanych przez świętego Jana Apostoła, a po stronie Matki i pod Jej przewodnictwem stanęli pod Krzyżem wszyscy ochrzczeni wszystkich wieków, których Ona reprezentowała.

Ale to za mało powiedzieć, że „stała pod Krzyżem”, gdyż Ona była do Krzyża przybita, i to nie tylko duchowo, ale i fizycznie! Skąd taki wniosek...? Tajemnicę tę przybliży nam „Poemat Boga-Człowieka”. Oto wstrząsające wyznanie Maryi, które pada z Jej ust w chwili, gdy przysłany przez Jezusa Apostoł spotyka Ją w izdebce przy sali Wieczernika, skąd ma Ją przyprowadzić na Golgotę.

«Nie kłam, Janie, nawet z litości dla Matki. Nie uda ci się to... to daremne. *Ja wiem*. Od wczorajszego wieczora towarzyszyłam Mu w Jego bólu. Ty tego nie widzisz, ale Moje ciało jest porozrywane przez biczowanie, na Moim czole znajdują się ciernie, czułam uderzenia... wszystko. Ale teraz... już nie widzę. Teraz nie wiem, gdzie jest Mój Syn skazany na krzyż!... na krzyż!... na krzyż!... O, Boże, daj Mi siły! On *musi* Mnie widzieć. *Nie powinnam* odczuwać [i ujawniać] *Mojego bólu*, dopóki trwa Jego ból. Kiedy potem wszystko... się skończy, wtedy odbierz Mi życie, Mój Boże, jeśli chcesz. Teraz nie. Przez wzgląd na Niego – nie... aby Mnie widział. Chodźmy, Janie. Gdzie jest Jezus? – Wyszedł z domu Piłata. Ta wrzawa to tłum, który krzyczy wokół Niego, związanego, stojącego na schodach Pretorium, czekającego na krzyż lub idącego już na Golgotę».

W oparciu o powyższy tekst mamy prawo wywnioskować, że także na Golgocie, i to nawet w ciągu straszliwych trzech godzin agonii Jej Boskiego Syna, Maryja cierpiała razem z Nim i duchowo, i fizycznie. Oto inny fragment VI Księgi Dzieła, który nas do tego upoważnia.

«Dwóch oprawców siada Mu na piersiach, aby utrzymać Go nieruchomo. Myślę o ucisku i cierpieniu, jakie musi odczuwać pod ich ciężarem. Trzeci bierze Jego prawe ramię, trzymając je jedną ręką w pierwszej części przedramienia, a drugą – za czubki palców. Czwarty ma już w ręce długi zaostrowany gwóźdź, o trzonie czworokątnym, zakończony główką okrągłą i płaską, szeroką jak dawny grosz. Patrzy, czy wykonany już w drzewie otwór odpowiada złączu promieniowo-łokciowemu nadgarstka. Pasuje. Kat przykładła koniec gwoździa do przegubu, podnosi młotek i uderza po raz pierwszy.

Jezus, który miał zamknięte oczy, wydaje okrzyk i kurczy się pod wpływem najwyższego bólu. Otwiera oczy zalane łzami. Musi odczuwać straszliwe cierpienie... Gwóźdź bowiem przenika, przerywając mięśnie, żyły, nerwy, krusząc kości...

Maryja odpowiada na krzyk Swego torturowanego Syna jękiem, który ma w sobie coś ze skargi podrzynanego baranka, i zwija się, jak złamana, obejmując głowę rękoma. Jezus, aby Jej nie dręczyć, już więcej nie krzyczy. Trwają uderzenia, systematyczne, okrutne, żelaza w żelazo... a pomyślmy, że pod spodem przyjmują je żywe członki».

Ten krótki opis wstrząsającej reakcji Matki na torturę niech nam wystarczy, reszty dowiemy się w Niebie.

Współzbawicielka

Wydawałoby się, że dwa terminy powszechnie używane, i to nie tylko w teologii: odkupienie i zbawienie – są na tyle precyzyjne, że nie powinny się nikomu mieszać, gdyż dotyczą dwóch odrębnych rzeczywistości. Tak jednak, niestety, nie jest – są one często używać zamiennie – a to wprowadza do nauki Kościoła (na wszystkich szczeblach) pewien chaos i bywa źródłem nieporozumień. Przykłady: wg protestantów wszyscy „już jesteśmy zbawieni”, i to bez osobistych zasług, tylko z łaski, dzięki Bożemu miłosierdziu; a gdybym ja powiedział: „Jezus nas, ziemian, jeszcze nie zbawił” – wielu by krzyknęło: „co za jakiś heretyk!”. A więc... kilka zdań wyjaśnienia.

Istota odkupienia została wyżej, chyba dostatecznie, naświetlona, a jego zakres czy zasięg jest powszechny: cała ludzkość, dzięki zasłudze posłuszeństwa Bogu Ojcu, okazanego Mu przez Jego Jednorodzonego jako Głowę nas wszystkich („nowego Adama”) otrzymała prawo pielgrzymowania przez ziemię do Nieba. Jezus czeka w nim na nas, przygotował nam w nim wieczne mieszkanie i będąc dla nas „Drogą” do niego, jak sam siebie nazwał.

Natomiast zbawienie to nic innego, jak osiągnięcie wiecznego celu czyli wejście do Nieba. I dlatego mogę powiedzieć, że my, ziemianie, nie zostaliśmy jeszcze zbawieni, lecz dopiero *jesteśmy zbawiani* – dzień po dniu, wśród walk i pokus, pod ciężarem swojego krzyża, na drodze posłuszeństwa Bożym Przykazaniom, głosowi sumienia i wierności swoim obowiązkom duchowo wzrastamy i zdobywamy zasługi na Niebo. Tu nie wystarczyło doskonałe posłuszeństwo Odkupiciela, lecz każdy z nas indywidualnie musi zostać w nim wypróbowany – ma wykazać się miłością Boga i bliźniego, właśnie na posłuszeństwie opartą.

Do odkupienia nas przez pojednanie z Ojcem wystarczył heroiczny czyn Chrystusa jako naszej Głowy – Jego czyn osobisty jako Syna Człowieczego – czyli odkupił nas bez nas, bez naszego udziału. Jednak w zbawianiu nas już on nie wystarczy – musi w nim brać udział razem z Głową całe Ciało Mistyczne czyli Kościół, ubogacony przez swojego Założyciela w niezwykle obfite i liczne środki zbawcze, umożliwiające nam czerpanie z oceanu Bożej łaski, czy to uświęcającej, czy uczynkowej, z charyzmatów, darów i owoców Ducha Świętego.

Nasz osobisty udział w zbawianiu bliźnich jest dla nas wielkim polem do zasługiwania sobie na Niebo. Tak więc istnieje podwójny cel, i to równorzędny, naszego pojawienia się na ziemi: zasłużenie sobie na wieczne szczęście oraz pomoc innym w jego osiągnięciu. Ten drugi cel nie wygasa wraz z odejściem z ziemi, lecz – w oparciu o dogmat o obcowaniu świętych – widzimy jego przedłużenie czy to w Niebie, czy to w Czyśćcu, gdyż w obu tych miejscach możemy być orędownikami pielgrzymujących przez ziemię.

Powyższe – zdawałoby się, że oczywiste, wnioski – trzeba uzupełnić o naukę (tak Chrystusową, jak i apostołską) o roli naszego osobistego krzyża. Nie jest on nigdy odkupieńczy, lecz tylko zbawczy, niemniej jednak jest konieczny m.in. jako próbie naszej miłości. Nie wszyscy dobrze rozumieją następującą myśl św. Pawła z Listu do Kolosan (1, 24): „Teraz raduję się w cierpieniach za was i ze swej strony w moim ciele dopełniam braki udręk Chrystusa dla dobra Jego Ciała, którym jest Kościół”. To oczywiste, że Chrystus cierpiał na krzyżu

„do końca”: do pełnego wyniszczenia swojej ludzkiej natury w duchu doskonałego posłuszeństwa Ojcu, który zażądał od Niego tej ofiary – stąd Jego ofierze *odkupieńczej* niczego nie mogło „brakować”, natomiast do pełni *zbawczej* ofiary Jego Ciała Mistycznego „brakuje”... właśnie naszych, moich cierpień! Powinienem więc je sobie bardzo cenić, gdyż na moją miłosną ofiarę czeka „zachłannie” (zdaniem mistyków) Bóg i cały Kościół.

Ponieważ członkami Kościoła stajemy się wyłącznie przez Chrzest, nieochrzczeni nie mogą być zbawieni, nawet jeśli nie popełnili grzechów osobistych, np. małe dzieci. Muszą oni wszyscy czekać na swój Chrzest w Otchłani, którą opróżnił Jezus w Wielki Piątek po swojej śmierci („Zstąpił do piekieł” – wyznajemy w Credo Apostolskim), lecz której nie unicestwił. Z niej to wróżka z Endor wywołała proroka Elizeusza na prośbę króla Saula, by ten mógł z nim rozmawiać; z niej na górze Tabor wyszli Mojżesz i Elias, prowadząc rozmowę z przemienionym Jezusem. Wszyscy oni byli w ciałach duchowych, bo przecież fizyczne zostały pogrzebane i czekają na zmartwychwstanie na końcu świata. Kiedy tym razem Otchłań zostanie otwarta ku Niebu, tego nie wiemy, ale na pewno nie będzie już ona potrzebna, gdy na ziemi nie będzie pogan ani ateistów, lecz sami ochrzczeni. W moim przekonaniu nastąpi to w ramach Paruzji Jezusa.

Gdy wrócimy do roli cierpień, ofiarowanych przez nas Bogu, to jeżeli chodzi o Matkę Najświętszą – Jej ofiara ma podwójny charakter: odkupieńczy (wyjątkowy – Ona jedyna jest Współodkupicielką z Chrystusem) oraz zbawczy.

– Jako Matka Kościoła bierze Ona udział w duchowym rodzeniu jego dzieci dla Nieba przez ich uczestnictwo w sakramentach świętych;

– jako Nauczycielka i duchowa Przewodniczka – prowadzi je do pełni duchowego wzrostu i dojrzałości przez ich zjednoczenie z Duchem Świętym Uświęcicielem;

– w zjednoczeniu z Jezusem-Drogą jako Brama Niebieska przyjmuje dzieci Boże „na progu” naszego wiecznego domu i prowadzi je do tronu Ojca, do pełni Chwały.

Im większe dobro, tym więcej kosztuje jego zdobycie. To samo dotyczy Najwyższego Dobra, Piękna i Prawdy, to samo Nieskończonej Miłości, to samo Źródła Istnienia i Życia. A zdobywanie go nie tylko dla siebie, ale i dla innych, kosztuje podwójnie. Odnosi się to także do Maryi – do Jej życia, misji, powołania, tak w doczesności, jak i do końca świata, do kresu życia na ziemi ostatniego z Jej dzieci, dążącego do wiecznego zbawienia. Odnosi się do wielkości Jej ofiary, do pełni Jej poświęcenia się dla nas. Bylibyśmy jednak w błędzie, gdybyśmy czcząc Ją jako Matkę Bolesną i analizując Jej życie, zatrzymywali się na Golgocie i na Wielkiej Sobocie sądząc, że po spotkaniu Zmartwychwstałego omijała Ją już męka. Nic bardziej mylnego! Temat to bardzo szeroki, ale zawężę go tutaj do prostego pytania: czy 2 tysiące lat temu płakała Maryja kiedykolwiek krwawymi łzami? Raczej chyba nie. A dzisiaj płacze! Setki Jej wizerunków, zwłaszcza w ostatnim stuleciu, opływają na całym świecie Jej łzami, tak naturalnymi, jak i krwawymi, chociaż znajduje się w Chwale i Pełni Szczęścia. Jezus mówi nam przez Marię Valtortę, że w Niebie Dwa Najświętsze Serca będą cierpieć do końca świata, do ostatniego grzechu na ziemi, który nie może Ich nie ranić. Chodzi tu nie o cierpienia odkupieńcze, które ustały w Wielki Piątek, lecz o zbawcze – o ofiarę Miłości, składaną z miłości do każdego będącego w drodze do wiecznego zbawienia. Przykład: uznanym przez Kościół za prawdziwe objawieniem Maryi w Akita w Japonii towarzyszyły aż 101 razy Jej Matczyne łzy, spływające z oczu drewnianej rzeźby w kaplicy zakonnej. Odnosiły się one najwyraźniej do strasznej kary, czekającej wkrótce ludzkość za niewierność Bogu, o której słyszała i którą oglądała siostra Agnieszka Sasagawa. Tej samej kary, którą tak drastycznie opisał Jezus w swoim ewangelicznym nauczaniu: „Ludzie mdleć będą ze strachu w obliczu wydarzeń, zagrażających ziemi”.

Święta Faustyna Kowalska opisuje straszne biczowanie Jezusa, dokonywane dzisiaj przez popełniających grzechy nieczyste, przez ogromne tłumy, w których szczególnym okrucieństwem odznaczają się osoby konsekrowane, powołane do życia w czystości i potwierdzające to

uroczystym ślubem lub przyrzeczeniem. A specjaliści badający cuda Eucharystyczne przeżywają szok: pod ich mikroskopami pobrane z krwawiących Hostii tkanki okazują się cząsteczkami serca Człowieka, który obecnie jest torturowany i zwiija się z bólu. Ktoś powie: Jezus może tak, ale Maryja... miałyby nie tylko duchowo, ale i fizycznie cierpieć, i to nawet teraz, w Niebie? Dla mnie jest to pewne, choć na razie pozostaje tajemnicą. Skoro także fizycznie współcierpiała z Synem na ziemi, to na pewno w Niebie jest z Nim jeszcze pełniej zjednoczona w zbawczej misji „całego” Chrystusa, mistycznego, zarówno Głowy, jak i Ciała-Kościoła. Nie muszę ukrywać, że Bóg o północy 7 marca 2019 roku pozwolił mi przez chwilę w Niebie oglądać Jego mękę, spowodowaną wciąż pogarszającym się stanem moralnym ludzkości. Razem z Bogiem cierpiał cały Dwór Niebieski, zawsze dzielający Jego uczucia. Skoro „większa jest w Niebie radość z powodu jednego grzesznika, który się nawraca, niż z 99 sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia”, to jak wielki musi być smutek i ból z powodu całych miliardów, nie myślących o nawróceniu!

Zakończenie

Jestem człowiekiem przełomu przed i posoborowego. Teologią nasiąkałem powoli w seminarium duchownym, była jeszcze w starym stylu, mariologia także. Stamtąd wyniosłem w sercu zasadę, która znana była mariologom całych stuleci: „De Maria nunquam satis”, którą tak mógłbym w przybliżeniu oddać: nikt nigdy ani nie zgłębi, ani nie ukaże w pełni tajemnic, związanych z osobą, życiem i powołaniem Maryi – wszystko, co w tym kierunku czynimy i będziemy czynić, pozostanie niepełne i niedoskonałe. Tylko sam Stwórca zna do głębi to swoje najdoskonalsze stworzenie i wszystkie jego tajemnice, a dla aniołów i ludzi całej wieczności nie starczy, by je przeniknąć do końca.

Jako student KUL musiałem, wbrew własnej woli, udawać, że od dawnej tendencji w mariologii odstępuję, a podpisuję się (i to obiema rękami) pod tzw. „spuścizną Soboru”, otwartą na wpływy protestantyzmu i (nieco mniej) prawosławia. Z konieczności musiało się to uwidocznić w mojej pracy magisterskiej, a potem doktorskiej, ale później mi z głowy „wyparowało” i do dziś jest mi obce. Cieszę się, że o „mojej” Maryi mogłem teraz pisać tak, jak serce mi dyktowało, a więc w dawnym stylu, no i cieszę się, że mogłem powyższym podzielić się z Czytelnikami właśnie teraz, pod koniec życia, dobiegającego do 80-ki.

Na linii Maryjnych tajemnic leży, zapowiadany przez Nią samą w Fatimie, tajemniczy ostateczny tryumf Jej Niepokalanego Serca. Zarówno o nim, jak i o Paruzji Chrystusa, wiem dużo nie od ludzi, ale ponieważ nie pozwolono mi o tym nauczać, „moja mariologia osobista” z konieczności musi zatrzymać się w tym momencie. Nie jest mi więc dane spięcie jedną kłamrą tzw. Protoewangelii z raju o Niewieście, która zmiażdży głowę węża, z tryumfem Jej Serca, ale widocznie mają zrobić to inni w swoim czasie – niech im Bóg w tym błogosławi.

Maryja jest moją pierwszą ziemską miłością, gdyż z Nią wiąże się najstarsze ze wszystkich moich ziemskich wspomnień. Jako małe dziecko znalazłem się w Jej ramionach, zaniesiony wprost przed Oblicze Boga Ojca w Niebie, co miało ogromny wpływ na całe moje dalsze życie. A teraz mam nadzieję, że wkrótce będę mógł znaleźć się blisko Niej w najwyższym Niebie, do którego mają zaproszenie ci, którzy oddali się Jej w niewolę miłości. O tak, nie tylko doczesnej, ale WIECZNEJ MIŁOŚCI!

W Pierwszą Sobotę lutego 2026

ks. Adam Skwarczyński

(Tekst, pisany w odcinkach, wymaga jeszcze doszlifowania i swojego spisu treści, postaram się o to za tydzień. Powinien być w formacie PDF, wygodnym do wydrukowania).